

MEANDRY POLITYKI - *Michał Stefański* (wyemitowane 16 lutego 2020 - [posłuchaj](#))

ULOTNA STABILNOŚĆ

W latach 1989-90 w jednej z nieoficjalnych rozmów ówczesnego prezydenta Francji Francois Mitteranda z którymś z paryskich dyplomatów, wścibskie ucho podsłuchało takie oto zdanie szefa państwa: "Ja tak bardzo lubię Niemcy, że szczerze uważam, że dwa państwa niemieckie to za mało. Gdyby to tylko zależało ode mnie, byłoby ich cztery albo pięć." Żart ten nabiera sensu dopiero wtedy, jeśli wziąć pod uwagę, że w kołach dobrze poinformowanych było już wtedy wiadomo, że dni Niemieckiej Republiki Demokratycznej są de facto policzone, a Republika Federalna lada miesiąc odzyska jedność i pełną suwerenność.

Kiedy miesiąc temu Wielka Brytania opuszczała struktury Unii Europejskiej, krajem, w którym chyba najwięcej obywateli żałowało tego kroku, były właśnie Niemcy. Nie do końca z własnej woli obywatele Republiki Federalnej zostali w ten sposób wypchnięci na sam środek areny rozgrywek europejskich, co zresztą było do przewidzenia z chwilą poddania w wątpliwość sensu istnienia sojuszu NATO w obecnym kształcie przez prezydenta USA Trumpa. Jest dość oczywiste, że przez kilka dekad dobrobytu pod parasolem atomowym amerykańskiego patrona, większość Niemców oduczyła się oceniać sytuację na świecie z punktu widzenia wyłącznie swojego kraju. Nawet i teraz, woleliby oni uniknąć robienia wyboru, kiedyś sformułowanego przez pisarza Tomasza Manna: - "...albo niemiecka Europa, albo europejskie Niemcy." Widać, że ani Niemcy zbyt słabe (w XVII i XVIII w), ani zbyt silne (z końcem XIX i do połowy XX w.) żaden z obu modeli nie zapewnił stabilności na kontynencie Europy, jak przyznał to kiedyś jeden z powojennych kanclerzy RFN. Dlatego też z niemieckiego punktu widzenia, bardzo pożądane dla stabilizacji powojennej Europy było członkostwo Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej. Zjednoczone Królestwo ważyło na tyle dużo - ekonomicznie, demograficznie oraz militarnie - że było w stanie zrównoważyć Niemcy, Francję i całą resztę starego kontynentu. Teraz jest tylko kwestią czasu jak szybko młode pokolenie niemieckich elit władzy i pieniądza włączy się w wyścig o wpływy na południu i wschodzie Europy. Taki, dość prawdopodobny powrót "kwestii niemieckiej" na stoły konferencyjne może w Niemczech cieszyć jedynie albo różnej maści nacjonalistów, albo osoby bardzo naiwne. Wszyscy inni będą raczej zaniepokojeni.

Wyjście Wielkiej Brytanii z Unii i wzrost roli Niemiec, a także trwająca cały czas wojna hybrydowa Putina przeciw Zachodowi, odegrały rolę inspirującą dla wcale pokaźnej grupy polskich politologów. Jednym z ciekawszych naukowców zajmujących się geopolityką i strategiami obronnymi Polski jest dr Jacek Bartosiak, wykładowca w Akademii Obrony Narodowej i założyciel tzw. "think-tanku" pod nazwą "Strategy and Future" (Strategia i Przyszłość). W swoich książkach oraz w szeregu spotkań z czytelnikami daje on nieraz do zrozumienia, że aktualnej polskiej polityce zagranicznej brak jest śmiałości stawiania podstawowych zagadnień. Przede wszystkim na poziomie geostrategicznym. Jego zdaniem - podzielanym przez licznych słuchaczy - Polska po roku 1989 niepotrzebnie stawiała siebie w drugim lub trzecim szeregu, jedynie w roli wiernego wykonawcy misji powierzanych jej przez USA. A przecież, jeśli wierzyć profesorowi, już w roku 1990 była możliwość zawiązania federacji z Białorusią - lub przynajmniej unii celnej. Jeżeli wtedy brak zainteresowania polskich elit tzw. "kwestią wschodnią" mógł się tłumaczyć obawą przed nagłym powrotem ZSRR, to teraz nie powinno to już wchodzić w grę. Oczywiście, w ostatnich latach nikt z poważnych warszawskich czy krakowskich politologów nie wysuwał jakichkolwiek roszczeń terytorialnych na wschodzie.

W opinii znawczynie tematu, Agnieszki Romaszewskiej-Guzy - osoby wywodzącej się z opcji narodowej - podmiotowość Białorusinów i Ukraińców nie może być kwestionowana. Co najwyżej uznaje się, że Lwów i Wilno należą historycznie do polskiej przestrzeni kulturowej, bo w tych miastach przez stulecia działa się polska historia. Z tym, że z wojskowego punktu widzenia, polska strefa bezpieczeństwa, nazywana przez polskich strategów (w tym dr Bartosiaka), pomostem bałtycko-czarnomorskim ma sens tylko wtedy jeśli dochodzi prawie do Smoleńska, pokrywając się z północno-wschodnią granicą dawnej I Rzeczypospolitej. Odrzucając liberalno-lewicowe marzenia o świecie bez wojen, dr Bartosiak uznaje za coś naturalnego fakt, że stosunki międzynarodowe są pełne napięć i spięć, a mocarstwa nieustannie będą rywalizować ze sobą o poszerzanie stref wpływów. Nasuwa się pytanie: gdzie są w tym wszystkim małe państwa? A gdzie średnie - takie jak choćby Polska? Albowiem, aby czuć się jako tako bezpiecznie Rzeczpospolita powinna być w stanie kontrolować ów cały obszar faktycznie lub przynajmniej elektronicznie. Jak na razie, to nasz stary kraj dalej pozostaje w tzw. "strefie zgniotu.", a od jakiegoś czasu już wiadomo, że stabilność w tej części Europy jest ulotna.

Z jednej strony Putin, z drugiej Trump, a z trzeciej Chiny - oni wszyscy podważają znane pewniki na kontynencie europejskim. Trzeba przyznać, że ani NATO, ani Unia Europejska, ani USA, ani Bank Światowy i szereg instytucji, do których przywykliśmy - żadna z nich już nie daje 100-procentowej gwarancji Polsce, która winna zacząć sama myśleć o swojej obronie. Wewnątrz NATO, ale także samodzielnie. Na zwlekaniu nie ma czasu. Wszak, jak mówi wielu, niedługo już za pięć dwunasta.